

Paula McLain
GDY
GWIAZDY
CIEMNIEJĄ

Przełożyła
Ewa Ratajczyk

Powieść *Gdy gwiazdy ciemnieją* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *When the Stars Go Dark*

© Paula McLain, 2021
All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz
Redakcja: Anna Śledzikowska
Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Mimadeo/Shutterstock
Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3257-6

MANDO
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań
Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

(prolog)

Matka, która zdarła z siebie sukienkę, kiedy policja przyniosła jej do domu wiadomość, i pobiegła ulicą w samych butach, a sąsiedzi, nawet ci, którzy ją dobrze znali, chowali się za drzwiami i oknami, przerażeni jej zalem.

Matka, która ścisnęła torebkę córki w pędzącej karetce. Różowo-białą, w kształcie pudła, umazaną krwią.

Matka, która zaczęła gotować dla detektywów i księdza z parafii, próbujących jej wytłumaczyć, co się stało – spierzchniętymi dłońmi kroić góry cebuli i zmywać naczynia w gorącej wodzie. Nikt nie potrafił jej zmusić, żeby usiadła. Siadając, musiałaby się dowiedzieć. Pogodzić.

Matka, która po zidentyfikowaniu ciała swojego dziecka wyszła z kostnicy i przeszła przed wagonem podziemnej kolei pod napięciem. Wstrząs odrzucił ją pięć metrów do tyłu, czubki palców dymiły w miejscu, gdzie poraził je prąd, wargi miała czarne. Ale przeżyła.

Matka, która była kiedyś sławną aktorką, a teraz czekała na wieści, jak czekają lodowce w odległym krańcu globu, zamrożone, milczące, półżywe.

Matka, którą byłem ja tamtego lipcowego dnia, na kolanach, kiedy sanitariusz próbował dotrzeć do mnie słowami, zdaniem, moim imieniem. Nie chciałam wypuścić ciała mojego dziecka.

– Pani detektyw, pani Hart – powtarzał, jakby ta osoba jeszcze istniała, ale mój ogłuszony umysł runął w przepaść.

1

ZNAKI I OPARY

(jeden)

Noc wygląda, jakby była w strzępach, kiedy wyjeżdżam z miasta w dziurawej mgle, pod kruchym wrześnieowym niebem. Portero Hill za mną jest pasem martwej plaży, a całe San Francisco – śnięte, bez życia. Ponad linią chmur wznosi się dziwna żółta kula. To księżyc, gigantyczny i przerośnięty, w kolorze lemoniady. Nie mogę przestać się przyglądać, jak wspina się wyżej i wyżej, jaskrawy niczym świeża rana. Niczym ból świecący nad drzwiami.

Nikt nie spieszy mi na ratunek. Nikt nie zdoła nikogo uratować, choć kiedyś wydawało mi się, że jest inaczej. Dużo mi się wydawało, lecz teraz rozumiem, że naprzód można ruszyć, jedynie zaczynając od zera, a nawet mniej niż zera. Mam siebie i nikogo więcej. Mam drogę i wijącą się mgłę. I ten udręczony księżyc.

Jadę, aż znikają znajome krajobrazy, i przestaję zerkać w lusterko, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi. Travelodge w Santa Rosa jest ukryty za parkingiem supermarketu, całkiem pustego i nadmiernie oświetlonego, jak basen w nocy, z którego nikt nie korzysta. Dzwonię i z zaplecza radośnie wyłania się recepcjonistka z nocnej zmiany; wyciera dłonie w jaskrawą bawełnianą sukienkę.

– Dobry wieczór – mówi. Ten całkiem niewinny początek rozmowy jest z gruntu nieprawdziwy.

– Dobry wieczór.

Wyciąga formularz rejestracyjny i fioletowy długopis, a zwiotczała skóra pod jej ręką rozpościera się niczym skrzydło. Czuję, że patrzy na moją twarz, na moje włosy. Obserwuje moje dłonie, czytając do góry nogami.

– Anna Louise Hart. Piękne nazwisko.

– Słucham?

– Pani tak nie sądzi, złotko? – W jej głosie słyhać karaibski akcent, silny, z ciepłym zabarwieniem, więc dochodzę do wniosku, że „złotkiem” nazywa każdego, nawet mnie.

Wysilam się, żeby się nie skrzywić pod wpływem jej uprzejmości, kiedy w zielonkawej poświacie fluorescencyjnej żarówki zapisuję numer rejestracyjny mojego samochodu. Żeby z nią rozmawiać, jakbyśmy były dwiema zwykłymi kobietami bez najmniejszych smutków.

W końcu wręcza mi klucz. Idę do swojego pokoju i z ulgą zatraskuję za sobą drzwi. Jest łóżko i lampa, i krzesło z tych, co to stoją w dziwnym miejscu i nikt nigdy na nich nie siada. Kiepskie światło spłaszcza wszystko do ponurych prostokątów, nieładną wykładzinę, sztucznie wyglądającą narzutę na łóżku i niestarannie upięte zasłony.

Kładę torbę na środku łóżka, wyciągam mojego glocka 19 i wsuwam go pod sztywną poduszkę. Czuję się z nim bezpieczniej, jakby był moim starym przyjacielem. Bo chyba nim jest. Wyjmuję ubranie na zmianę i uruchamiam prysznic, starannie unikając lustra, kiedy się rozbieram; zerkam tylko na piersi, które zrobiły się twarde jak kamienie. Prawa jest gorąca w dotyku, a wokół sutka utworzył się pokryty pęcherzykami czerwony wzgórek. Pod prysznicem puszczam najgorętszą wodę i stoję, płonąc żywcem; nie czuję najmniejszej ulgi.

Wychodzę, ociekając wodą, wkładam ręcznik pod kran, a później mokry – do mikrofali, aż dymi. Przyciskam go do ciała i czuję wulkaniczny żar, który parzy mi dłonie, i zginam się wpół nad muszlą klozetową, ciągle naga. Obwisłe ciało na wysokości pasa wydaje się w dotyku tak gumowate i sflaczałe jak nienapompowana tratwa ratunkowa.

Z mokrymi włosami idę do całodobowej drogerii i kupuję bandaż elastyczny i laktator, woreczki strunowe i litrową butelkę meksykańskiego piwa. Laktatory są tylko manualne, z pompką, nieporęczne i czasochłonne. W pokoju ciężki, przestarzały telewizor rzuca krzywe cienie na nagą ścianę. Pompuję przy akompaniamencie hiszpańskiej opery mydlanej, próbując odwrócić uwagę od bólu przy zasysaniu. Aktorzy z przesadną gestykulacją i mimiką składają sobie wyznania, a ja zajmuję się jedną piersią, potem drugą, napełniając zbiorniczek dwukrotnie, później zaś przelewam mleko do woreczków, które podpisuję: 21.09.93.

Wiem, że całą ich zawartość powinnam spuścić w toalecie, ale nie potrafię się do tego zmusić. Trzymam worki przez długą minutę, skupiając się na ich znaczeniu, a później wsadzam do zamrażarki małej podręcznej lodówki i zamykam drzwiczki, i tylko przez chwilę myślę o pokojówce, która je znajdzie, albo kierowcy ciężarówki, który będzie szukał lodu i na widok worków poczuje obrzydzenie. Mleko opowiada całą gorzką historię, ale wątpię, żeby ktoś niewtajemniczony domyślił się właściwego scenariusza. Mnie samej trudno go zrozumieć, a jestem jego główną bohaterką; sama go piszę.

Tuż przed świtem budzę się z gorączką i przesadzam z ilością advilu – przy połykaniu tabletek czuję pieczenie w zaciśniętym gardle. U dołu telewizyjnego ekranu przewijają się pasek

z wiadomościami z ostatniej chwili. *Czterdzieści siedem ofiar w Big Bayou w Alabamie. Najtragiczniejsza katastrofa kolejowa.* W środku nocy holownik na rzece Mobile zboczył z kursu w gęstej mgle i wyprowadził barkę na Big Bayou Canot Bridge, przesuwał ją tory o prawie metr. Osiem minut później jadący planowo pociąg Sunset Limited z Los Angeles do Miami wykoleił się, wjeżdżając na most z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Trzy pierwsze wagony wpadły do wody, most się zawalił, zbiornik paliwa eksplodował. Amtrak zarzuca niedbalstwo kapitanowi holownika. Zaginionych jest kilku członków załogi, akcja ratunkowa trwa. W późniejszych godzinach na miejsce katastrofy ma przyjechać prezydent Clinton.

Wyłączam telewizor i żałuję, że gumowym czerwonym przyciskiem pilota nie można wyłączyć wszystkiego, w środku i na zewnątrz. Chaosu i rozpacz, i bezsensownej śmierci. Pociągów pędzących w stronę uszkodzonych szyn i dziur ze śpiącymi oraz niczego nieświadomymi pasażerami. Kapitanów holownika na złej rzece w najbardziej nieodpowiedniej chwili.

Osiem minut, chcę krzyknąć. Ale kto by mnie usłyszał?

(dwa)

Pracowałam kiedyś nad sprawą zaginięcia chłopca, którego znaleźliśmy później w kawałkach w Noe Valley pod werandą domu jego babci – kiedy przyjechaliśmy, bujała się na trzeszczącej, poobijanej huśtawce na ganku dokładnie nad jego ciałem. Przez wiele miesięcy nie byłam w stanie wymazać z pamięci jej twarzy, pudrowych zmarszczek wokół ust, bladoróżowej pomadki nałożonej ponad górną wargą. Spokoju w jej bladoniebieskich oczach.

Jej wnuk Jeremiah Price miał cztery lata. Najpierw go otruła, żeby nie pamiętał bólu. Słowo „pamiętać” było jej ulubionym słowem, pierwszym w całej historii o tym, co – jak jej się wydawało – musiała zrobić. Ale ta opowieść nie miała sensu dla nikogo poza nią. Kiedy ją przesłuchiwałam, zadawaliśmy jej na okrągło jedno i to samo pytanie. *Dlaczego go pani zabiła?* Nie była w stanie nam odpowiedzieć.

W moim ciemnym pokoju w Travelodge na tanim, poznaczonym bliznami stoliku nocnym stoi telefon z tarczą, z instrukcją wybierania połączeń i stawką opłat za rozmowy międzymiastowe. Brendan odbiera po drugim sygnale. Jego głos jest ospały i niski, jakby dobiegał spoza betonowej ściany. Obudziłam go.

- Gdzie jesteś?
- W Santa Rosa. Nie zajechałam daleko.
- Powinnaś się przespać. Głos masz straszny.

– Tak. – Spoglądam na moje nagie nogi na narzucie i czuję na udach tanią tkaninę szorstką niczym zmywak. Moja bawełniana koszulka, mokra i pognieciona, przykleiła mi się do spoconego karku. Piersi owinęłam uciskowym opatrunkiem z bandażu, ale ból, mimo całego adwila, przy każdym uderzeniu serca przeszywa mnie eksplozją spazmów, wywołując specyficzne wrażenie echolokacji. – Nie wiem, co robić. To straszne. Dlaczego mnie karzesz?

– Nie karzę, po prostu... – Zapada długa, ciężka cisza, a on waży słowa. – Sama musisz sobie pewne sprawy przemyśleć.

– Niby jak mam to zrobić?

– Nie umiem ci pomóc – oznajmia tonem człowieka przegranego, na granicy wytrzymałości. Wyobrażam go sobie o wschodzie słońca na brzegu łóżka, z ciałem skulonym nad telefonem, z dłońmi w gęstych ciemnych włosach. – Próbowałem i jestem *zmęczony*, wiesz?

– Pozwól mi wrócić do domu. Możemy to naprawić.

– Jak? – pyta sennie. – Pewne rzeczy są nie do naprawienia, Anno. Dajmy sobie trochę czasu. To nie musi być na zawsze.

Coś w jego tonie daje mi jednak do myślenia. Mam wrażenie, że on już przeciął pępowinę, ale boi się do tego przyznać. Bo nie wie, jak zareaguję.

– Odkąd rozmawiamy? Od tygodnia, miesiąca? Roku?

– Nie wiem – wzdycha nierówno. – Muszę sobie wiele przemyśleć.

Moja dłoń na łóżku wygląda jak z wosku, jest sztywna, jakby należała do manekina z centrum handlowego. Odwracam wzrok i wbijam go w ścianę. – Pamiętasz, jak się pobraliśmy? Naszą wycieczkę?

Milczy przez minutę.

– Pamiętam – mówi w końcu.

– Spaliliśmy na pustyni pod wielkim kaktusem z mnóstwem ptaków, które w nim mieszkały. Powiedziałaś, że to kondominium.

Znów cisza.

– Tak. – Nie bardzo wie, dokąd zmierza ta rozmowa, nie jest pewien, czy zupełnie nie zbzikowałam.

Sama nie jestem tego pewna.

– To był jeden z naszych najlepszych dni. Byłam bardzo szczęśliwa.

– Tak. – Jego oddech w słuchawce przyspiesza. – Rzecz w tym, że już dawno nie widziałem tamtej kobiety, Anno. Nie było cię dla nas.

– Poprawię się. Pozwól mi spróbować.

Ze słuchawki wylewa się cisza, wzbiera wokół mnie na łóżku. Czekałam na jego odpowiedź.

– Nie ufam ci. Nie potrafię – wyznaje w końcu.

Jego wyrazisty głos jest druzgocący. Kategoryczny. Zły był od tygodni, ale to jest gorsze. Podjął decyzję, z którą nie mogę wygrać, bo dałam mu wszelkie powody do tego, żeby czuł to, co czuje.

– Uważaj na siebie, dobrze?

Mam wrażenie, że balansuję nad ciemną przepaścią. W innych chwilach naszego małżeństwa rzuciłby mi linę.

– Brendan, proszę. Nie mogę wszystkiego stracić.

– Przykro mi – mówi i się rozłącza, nim zdążę cokolwiek powiedzieć.

Na nabożeństwo pogrzebowe przyszło prawie dwieście osób, spora część w mundurach. Koledzy z pracy, przyjaciele i życzliwi nieznajomi, którzy przeczytali artykuł w „Chronicle” i pomyśleli: całe szczęście, że mnie nie spotkało coś takiego.

Zapięłam zamek sukienki, której na sobie nie czułam – byłam tak nafaszerowana ativanem, że ubranie mogłoby być uszyte

z noży. Zza ogromnych czarnych okularów słonecznych odczytywałam ruch warg Brendana powtarzającego bez przerwy: „dziękuję”. W domu znalazłam sobie miejsce w kuchennym kącie, tyłem do agresywnie porozstawianych kwiatów i kartek z kondolencjami, zboląłych twarzy wokół stołu zastawionego naczyniami żaroodpornymi i deskami serów. Mój przełożony Frank Leary podszedł do mnie z talerzem w dłoni, nawet nie udając, że jest nim zainteresowany.

– Co mogę powiedzieć, Anno? Co powiedzieć w obliczu takiego dramatu?

Jego głos, zwykle szorstki, teraz był łagodny. Marzyłam, żeby móc go zamrozić tam, gdzie stał, jego i wszystkich innych, jak w dziecięcej zabawie w posągi, i odejść. Ale tylko kiwnęłam głową.

– Dzięki.

– Powinnaś wziąć tyle urlopu okolicznościowego, ile potrzebujesz. Niczym się nie przejmuj.

Kiedy to mówił, poczułam, jakby ściana przybliżyła się do mnie o włos.

– Prawdę mówiąc, miałam zamiar wrócić w przyszłym tygodniu. Muszę czymś zająć myśli.

– Nie wygłupiaj się, Anno. Nie mówisz poważnie. To za wcześnie. Teraz powinnaś myśleć tylko o rodzinie i poświęcić czas sobie.

– Nie rozumiesz, Frank. – Słyszałam, jak mój głos zacieśnia się wokół słów i próbuje zwolnić, żeby brzmieć mniej rozpaczliwie. – Zwariuję bez jakiegoś zajęcia. Proszę.

Uniósł brwi i zrobił minę, jakby chciał mnie skarcić, ale w tej chwili podszedł mój mąż. Frank lekko się wyprostował i wyciągnął rękę.

– Brendan. Ciężki dzień. Współczuję. Daj znać, gdybym mógł jakoś pomóc.

– Dzięki, Frank. – Szary wełniany krawat Brendana wisiał luźno przy rozpiętym kołnierzyku koszuli, ale jego ciało wcale nie wyglądało na rozluźnione, kiedy tak stał pomiędzy Frankiem a mną, zerkając to na mnie, to na niego, jakby próbował wyczuć atmosferę. – O czym rozmawiacie?

– O niczym – skłamałam bez wahania. – Pogadamy później.

– Słyszałem. – Zamrugał szybko, a jego twarz robiła się coraz bardziej różowa. – Chyba nie masz zamiaru wracać teraz do pracy?

– Właśnie – odezwał się Frank, robiąc krok do przodu. – Powiedziałem dokładnie to samo. Jestem po twojej stronie.

– A kto jest po mojej?

Ściana za mną wydawała się gładka i zimna pod moją dłonią i nagle poczułam się jak w klatce. W pułapce.

– Ja tylko staram się przez to przejść, rozumiecie? Jeżeli nie będę miała się czym zająć... – Nie zdołałam dokończyć zdania.

– Nie wierzę! – Brendan zacisnął wargi, nozdrza mu drgały. – A co z nami? Może skupiłabyś się na rodzinie? Nie należy nam się to od ciebie? Zwłaszcza po tym, co się stało?

Poczułam się tak, jakby dał mi w twarz. Struchlałam.

– Nie to miałam na myśli. – Słyszałam, jak surowo zabrzmiała moja odpowiedź, jakbym się broniła.

– Owszem, to.

Patrzyliśmy z Frankiem, jak odwraca się na pięcie i ze spuszczoną głową przeciska się przez pokój pełen ludzi.

– Powinnaś za nim pójść. Jest w żalobie. Ludzie mówią różne rzeczy, kiedy cierpią.

– *Ludzie*, Frank? A *moje* cierpienie? – Wydawało mi się, że brakuje mi powietrza w piersiach, że w płucach mam próżnię. – Ty też mnie obwiniasz, prawda? Po prostu przyznaj.

Spis rozdziałów

(prolog)	9	(osiemnaście)	105
		(dziewiętnaście)	112
1. ZNAKI I OPARY.	11	(dwadzieścia)	116
(jeden)	13	(dwadzieścia jeden)	119
(dwa)	17	(dwadzieścia dwa)	128
(trzy)	22	(dwadzieścia trzy)	135
(cztery)	30	(dwadzieścia cztery)	142
(pięć)	36	(dwadzieścia pięć)	149
(sześć)	43	(dwadzieścia sześć)	155
(siedem)	46	(dwadzieścia siedem)	162
(osiem)	50	(dwadzieścia osiem)	166
(dziewięć)	56	(dwadzieścia dziewięć)	168
(dziesięć)	62	(trzydzieści)	173
(jedenaście)	68	(trzydzieści jeden)	182
(dwanaście)	72	(trzydzieści dwa)	188
		(trzydzieści trzy)	193
2. UKRYTE SPRAWY	77	(trzydzieści cztery)	198
(trzynaście)	79	(trzydzieści pięć)	203
(czternaście)	84	(trzydzieści sześć)	212
(piętnaście)	90	(trzydzieści siedem)	218
(szesnaście)	93	(trzydzieści osiem)	223
(siedemnaście)	100	(trzydzieści dziewięć)	228

3. CZAS I DZIEWICA	233	(pięćdziesiąt sześć)	310
(czterdzieści)	235	(pięćdziesiąt siedem)	315
(czterdzieści jeden)	239	(pięćdziesiąt osiem)	326
(czterdzieści dwa)	243	(pięćdziesiąt dziewięć)	332
(czterdzieści trzy)	249	(sześćdziesiąt)	337
(czterdzieści cztery)	252	(sześćdziesiąt jeden)	341
(czterdzieści pięć)	257	(sześćdziesiąt dwa)	348
(czterdzieści sześć)	262	(sześćdziesiąt trzy)	353
(czterdzieści siedem)	266	(sześćdziesiąt cztery)	357
(czterdzieści osiem)	271	(sześćdziesiąt pięć)	362
(czterdzieści dziewięć)	275	(sześćdziesiąt sześć)	368
(pięćdziesiąt)	282	(sześćdziesiąt siedem)	376
(pięćdziesiąt jeden)	286	(sześćdziesiąt osiem)	388
(pięćdziesiąt dwa)	290	(sześćdziesiąt dziewięć)	397
(pięćdziesiąt trzy)	295	(siedemdziesiąt)	401
4. KRZYWY LAS	299	(podziękowania)	403
(pięćdziesiąt cztery)	301	(<i>od autorki</i>)	409
(pięćdziesiąt pięć)	305	O autorce	413